

235134

HORIZON

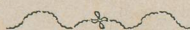


Życie i Zasługi

19.

Doktora

Karola Marcinkowskiego.



Rzecz z okazji jubileuszowego obchodu 25-letniej rocznicy założenia
Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego
napisana i na walnym zebraniu tegoż Towarzystwa w dniu 8 Lutego
roku 1866 odczytana

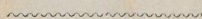
przez

H. Cegielskiego,

Wiceprezesa Dyrekcyi Towarzystwa Pom. Nauk. imienia
K. Marcinkowskiego.

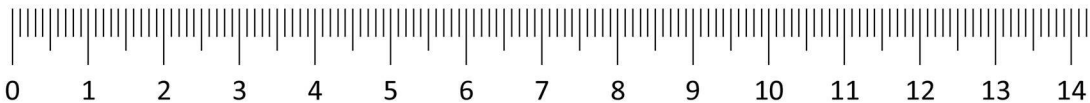


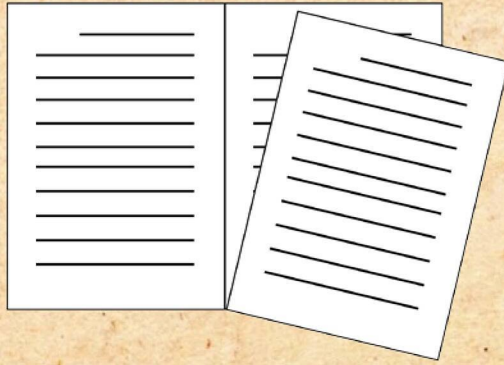
(Koszttem autora, a na dochód Towarzystwa Pomocy Naukowej.)



POZNAŃ,

Czcionkami Ludwika Merzbacha.
1866.





W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

472076 II



472077 II





235131

HORIZON

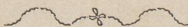


Życie i Zasługi

19.

Doktora

Karola Marcinkowskiego.

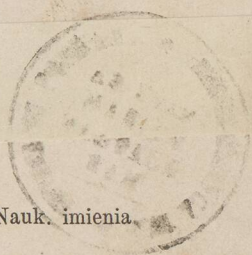


Rzecz z okazji jubileuszowego obchodu 25-letniej rocznicy założenia Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego napisana i na walnym zebraniu tegoż Towarzystwa w dniu 8 Lutego roku 1866 odczytana

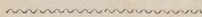
przez

H. Cegielskiego,

Wiceprezesa Dyrekcji Towarzystwa Pom. Nauk. imienia
K. Marcinkowskiego.



(Kosztem autora, a na dochód Towarzystwa Pomocy Naukowej.)



POZNAŃ,

Czcionkami Ludwika Merzbacha.

1866.

472 077



Panowie!

Pod niezwykłemi okolicznościami przychodzi mi dziś z urzędu zagaić doroczne nasze zebranie. Doczekaliśmy się chwili radosnej i uroczystej, chwili 25 letniej rocznicy założenia Towarzystwa naszego; mówię chwili radosnej, bo przywykłym częste widzieć rozbicia okrętów wśród nawałnic naszego życia publicznego, radować się przystoi, kiedy po wytrzymaniu różnych burz czasowych, z jednym przynajmniej statkiem ocalonym do portu zawinąć zdołaliśmy; mówię chwili uroczystej zarazem, bo jeżeli w życiu prywatnem rocznicę szczęśliwie dokonanej części jakiegś żywota uroczystą być mienimy i jako taką witamy, toć chwila stanowiąca epokę na drodze życia publicznego, tém uroczystsza być nam musi, i tém uroczyściej święconą być winna. Do powinszowań, które się Towarzystwu z okazji tak rzadkiej a chlubnej uroczystości należą, mamy prawo i obowiązek dołączyć wyraz poszanowania, które wiek i zasługa dlań nakazują. Bo jeżeli toż Towarzystwo szlachetnością myśli zasadniczej i wzniosłością celu, jaki sobie wytknęło, celowało dotąd wszystkie prawie inne stowarzyszenia nasze i w rzędzie ich na pierwszeństwo ja-

kieś zasługiwało; to odtąd stawa pośród nich jako macierz poważna laty i zasługą, bogata w doświadczenie, a przedewszystkiem w owoce. Stoi ono odtąd pośród młodszego rodzeństwa podobnych stowarzyszeń jako przykład i wzór warunków, pod jakimi towarzystwa, jeśli silną podstawę i trwałość mieć mają, powstawać, żyć i działać powinny, a warunkami temi są: jasność i pewność celu, droga prosta i na żadne bezdroża nie zbaczająca, zakres działania skromny i wyraźnemi określony granicami, wytrwałość pomimo chwilowych niepowodzeń, wreszcie — niech mi i to wolno będzie dodać — umiejętna, ścisła i regularna administracya, za czem wszystkim idzie zaufanie powszechne, bez którego żadne stowarzyszenie trwale ostać się nie zdoła. Tym to koniecznym warunkom, myślę, zadosyć uczyniło Towarzystwo Pomocy Naukowej i od chwili zawiąsku aż do dnia dzisiejszego wiernem im pozostało, i dla tego stanąwszy od razu na silnej podstawie, z różnem szczęściem, ale zawsze czasowo dobrem powodzeniem, przetrwało 25 lat nieprzerwanego żywota, a dziś stoi już jako pomnik ćwierćwiekowej pracy, ozdobiony wieńcem obfitych owoców na polu tej pracy zebranych, otoczony miłością i wdzięcznością młodzieży, zaufaniem członków stowarzyszenia, oraz szacunkiem wszystkich bez wyjątku, tych nawet, którzy dotąd z założonemi rękoma nań patrzyli.

To też, Panowie, gdybym się nie bał, aby nas o jakąś samochwalczą chełpliwość nie pomówiono, powiedziałbym, że i my wszyscy, którzy Towarzystwo to tworzymy i trzymamy je pracą, datkiem i życzliwością, powinszować sobie możemy wszystkiego, czém Towarzystwo jest i co dotąd zrobiło, powinszować sobie 25 letniej trwałości jego i owoców, które przez czas ten wydało, powinszować nareszcie, że nam Bóg doczekać pozwolił chwili

tęj uroczystej, w której tak rzadką w dziejach stowarzyszeń naszych obchodzimy rocznicę. Bo i czemuż nie mielibyśmy sobie powinszować, że stanowimy Towarzystwo, które sobie za hasło i zadanie wzięło oświatę i pracę, i żeśmy przez 25 lat wytrwali przy tém hasle aż do chwili, w której wszyscy nareszcie, po smutnych i okropnych zawodach, chwytają oburącz za chorągiew z tym hasłem i wołają na głos: Oświaty i pracy! Czemuż nie mielibyśmy sobie powinszować, że jesteśmy wytrwałymi i gorliwymi pracownikami na winnicy narodowej oświaty? Czemuż nie mielibyśmy sobie powinszować, że jesteśmy uczestnikami Towarzystwa, które pokochało i kocha młodzież naszą, opiekuje się dobrem jej moralném i materyalném, stoi na straży szlachetnych przymiotów jej serc i umysłów, a chroni jej od zbaczania z drogi szlachetnej pracy, dobrych i czystych obyczajów, podnieca w niej i rozwija instynkta i popędy szlachetniejsze, a tłumi skłonności złe lub podłe, przysposabia ją i uzdalnia do szlachetnych zajęć i prac pożytecznych na polu publiczném i tworzy z niej zastęp obywateli krajowych, światłych, czynnych, o dobro powszechnie dbałych i gorliwych, do wszelkiego poświęcenia gotowych, dając w niej krajowi najpewniejszą lepszej przyszłości rękojmią? Winszujemy sobie tego wszystkiego, nie w duchu częściej chełpliwości, ale w duchu poczucia, żeśmy potrzeby czasu zrozumieli, obowiązek z potrzeb tych wynikający podjęli, i żeśmy obowiązku tego aż do tej chwili wiernie dopełniali.

Atoli jednej rzeczy, Panowie, przedewszystkiem powinszować sobie możemy i powinniśmy. Oto tego, żeśmy usłuchali głosu i poszli za przykładem Męża, który pierwszy najjaśniej pojął zadanie, nad którem teraz wspólnie pracujemy, Towarzystwo, którego jesteśmy członkami,

stworzył i na tych samych postawił zasadach i warunkach, które mu nadały tę wielką i niezmienną wartość, oraz rękojmię jego żywotności i trwałości. On to, Panowie, po krótkim ale jasnym rozpatrzeniu się w stosunkach świata i narodów, pojął z bystrością sobie właściwą, że narodowi, co upadł ciemnotą, opuszczeniem i luźnością wszystkich warunków życia publicznego, potrzeba przedewszystkiem oświaty i idącej z nią w parze pracy pojedynczej równie jak zbiorowej; on to zrozumiał, że w lepszym wychowaniu dzieci naszych i gruntownej nauce młodzieży leży jedyna, ale pewna rękojmia lepszej przyszłości tak tejże młodzieży samej, jak społeczności, z której ona wychodzi; on to zrozumiał, że kto dziś nie przyczynia się do powszechnej pracy społecznej światłem należytem i udziałem czynnym, indiwidua równie jak narody, ten silnym postępem czasu zdeptany, wyrzucony i na zmarnienie wystawiony być musi. W téj to myśli i w tym szerokim a dalekim poglądzie założył on Towarzystwo nasze; w tém to najwyższa i najszlachetniejsza jego zasługa. A jeżeli obok téj wielkiej założyciela zasługi i nam się jakaś należy, to chyba ta, a dość dla nas zaszczytna, żeśmy i myśl jego zrozumieli, i zadaniu temu wierni pozostali, i oceniając należycie wielkość dzieła jego nadali mu trwałość, której pierwszy ustęp znaczniejszy dziś uroczyste obchodzimy. Tego to, Panowie, przedewszystkiem powinszujemy sobie; a czcząc dzisiaj pamiątkę 25 letniej rocznicy założenia Towarzystwa naszego, uczcijmy nadewszystko pamięć Męża, który nas myślą ową natchnął, którego duch pośród nas żyje, działa i do wytrwałości na tém polu działania pobudza i rozgrzewa.

Pozwólcie Panowie, że z okazji uroczystości dzisiejszej, tj. pamiątki 25 letniej rocznicy założenia wielkiego

tego dzieła, dam wyraz czci naszej dla Założyciela Towarzystwa naszego przez krótkie rozpamiętywanie żywota i dzieł jego. Myślę, że nie możemy lepiej i właściwiej uczcić pamięci jego, jak przez to, że się cofnemy myślą i sercem w czas krótkiego ale pięknego żywota jego, i przeniesiemy się tąż myślą i tém sercem w sferę ducha, który żywot jego wypełniał i żywotem tym kierował, a przechodząc wspólnie tę krótką drogę żywota jego, odświeżymy sobie w pamięci tę stoiczną postać męża, Lekarza, Żołnierza i Obywatela w całym wyrazu tego znaczeniu. Odsłonią nam się w tej postaci piękne rysy ze wszystkich epok wieku i stosunków jego; znajdziemy tam i podziwiać będziemy równie rzewną czułość pocziwego syna względem matki, jak męski hart duszy w najtrudniejszych życia zadaniach; równie wzorową pilność ucznia, jak religijną skrupulatność człowieka obowiązku; równie walecznego żołnierza, jak odważnego w powołaniu lekarza; równie pobłażliwego względem innych, jak surowego względem siebie chrześcijanina. A czas jest, Panowie, abyśmy piękne te, a coraz bardziej w pamięci naszej zacierające się rysy, w wyrazistszy nieco ujeli obraz; bo oto zastęp współczesnych jego przyjaciół, świadków czynów i poufników myśli jego, przerzedza się i zmniejsza, a z ubytkiem tym słabnie i tradycja wzorowego jego żywota; młodsza zaś generacja, czcząc imię zdobiące Towarzystwo nasze i z miejsca tego corocznie z winną czcią wspominane, ledwie już wie, jakie były i na czym polegały męża tego zasługi. Pozostawiając z ręczniejszemu pióru dokładny życiorys jego, skreślę w ogólnych zarysach postać tę, jak ona mi się przedstawia, i na podstawie dat, które mi się w bliskim otoczeniu zebrać udało. Być może, i cieszę się tą nadzieją, że ci z współczesnych Dra Marcinkowskiego, którzy niejedną szczegół życia jego

lepiej i dokładniej znają, jeśli się sami do napisania świetnej téj biografii nie poczują, to przynajmniej, com na cel niniejszy zebrał, wiadomemi sobie szczegółami uzupełnić, i tym sposobem do wykończenia obrazu przyczynić się zechcą.

~~~~~

Dr. Karól Marcinkowki, drugiego imienia Jan Chrzyciel, był synem Józefa i Agnieszki z Kopickich, a urodził się dnia 23 Czerwca r. 1800 tu w Poznaniu na przedmieściu św. Wojciecha, gdzie w kościele parafialnym tegoż imienia dnia 5 Lipca tegoż samego roku chrzest i powyższe dwa imiona odebrał. Ojciec jego trudnił się podobno początkowo utrzymywaniem furmanek, i to zapewne z niemałym powodzeniem, kiedy go nieco później zaznano jako właściciela trzech domów, jednego na ulicy Szkólniej, drugiego na Butelskiej, a trzeciego na rzeczonem przedmieściu św. Wojciecha. W tym to ostatnim ujrzał światło życia nasz Dr. Karól. My współczesni pamiętamy go jeszcze; był to domek skromny, prawie cały drzewiany, jak wówczas wszystkie prawie domki na przedmieściach, opatrzone numerem 91. Lat temu kilka dopiero, jak padł pod siekierą czasu i potrzeb jego; na miejscu jego stanął dom murowany, którego właściciel w ostatnim czasie oświadczył gotowość do pozwolenia, aby w ścianę frontową wpuścić tablicę kamienną z polskim i niemieckim napisem, mającym przekazać potomności miejsce urodzenia lekarza i obywatela, którego ceniło całe miasto bez różnicy religii i narodowości. Napis ten ma być niezadługo umieszczonym. Ojcu Dra Karóla poszło, niestety! jak wielu innym, którzy z dorobku przemysłowego przechodzą do nieznanego so-



bie zawodu ziemskiego; poszedł on szukać szczęścia lepszego w dzierzawie ziemskiej, na której większą część dobytku straciwszy, umarł w Margoninie już w r. 1812, azatém mniej więcej w 12 roku życia Karóla. W tedy to, zdaje się, zajęła się owdowiała matka traktyernią i sprzedają napojów w domku na przedmieściu św. Wojciecha, w którym się Karól urodził i wychowywał. Skromne zaiste pochodzenie Meża wielkiej przyszłości!

Z rodzeństwa miał Karól trzy siostry i jednego brata, dzierzawcę w Królestwie Polskiem, którego dwaj synowce byli później wychowañcami Dra Karóla, ich stryja. Obrawszy się ich opiekunem i dobrodziejem, chciał z nich wychować godnych własnego nazwiska, wiernych jego zasadom i pożytecznych krajowi obywateli. Nie tu miejsce oceniać, o ile mu się w tym szlachetnym zamiarze powiodło. Jeden z wychowañców tych, starszy, miał być lekarzem, ale nie dobiegłszy celu, przeszedł podobno do Ameryki; drugi młodszy, kształcony przez stryja na powoźnika, zamieszkał w Edinburgu, skąd mu po śmierci dobrodzieja do powrotu nie stało funduszu. Zjściły się w téj mierze przecucia i skrupuły, z jakimi się Dr. Marcinkowski jako opiekun i dobrodziej synowców często, a mianowicie w czasie niebezpiecznej choroby w skutek skałeczenia ręki przy sekcyi zmarłego przyjaciela, a potem na łożu śmiertelnem, do przyjaciół swoich dał słyszeć, przecucia i obawy, że podjętego względem nich obowiązku wychowania dopełnić nie zdąży. Były to skrupuły tém słuszniejsze, że radby był w wychowañcach swoich ujrzeć i przedstawić przykład i wzór młodzieży, której właściwe i ku pożytkowi kraju skierowane wychowanie stało się jednym z celnych życia zadań.

Zdaje się, że Karól, którego przymioty serca i duszy bardzo już wcześniej znać o sobie dawały, był matki



ulubionem dzieckiem. Bo któraż matka oprze się sile affektu i nawet pewnej dumy na widok dobrego, zdatnego i pocziwego syna, przynoszącego z zadomu, a mianowicie ze szkoły, widome znaki odznaczenia i pochwał za niemi idących? To też i serce Karóla wylane było dla poważnej, a z godnego syna uszczęśliwionej matki. Kochał ją nietylko jako młodzieniec naturalnem i niepodzielonem jeszcze uczuciem serca synowskiego, ale, co większa, kochał ją i szanował już jako mąż męskim oddany zatrudnieniom i obowiązkom, już jako obywatel pierwszy między pierwszymi. Po ciężkich pracach dziennych, po zajęciach poważnych, rad zaglądał do ubogiego domku matki, aby jęj się chluba swoją pozwolić ucieszyć, i aby nawzajem w macierzyńskich objęciach dać folgę myślom i trudom, i z serca matki zaczerpnąć osłody i otuchy do ciężkich obowiązków żywota publicznego. Nie znam wspanialszego obrazu nad ten, jaki przedstawia mąż poważny wiekiem, czynem, stanowiskiem i powszechnym szacunkiem, rozczulający się w chwilach wytchnienia w uściskach matki, z zasług i zaszczytów syna uszczęśliwionej. Jest to obraz piękny, bo jest szlachetny.

Nauki elementarne pobierał Marcinkowski przez lat trzy w szkole tak nazwanej reformackiej, tj. przygotowawczej w klasztorze poreformackim, i to aż do roku 1810, w którym to roku, w miesiącu Październiku, mając lat 10, w poczet uczniów ówczesnego liceum czyli gimnazjum poznańskiego zapisany został. Jakim był tego gimnazjum uczniem, świadczą o tem cenzury zapisane i pozostałe do dziś dnia w księgach tegoż instytutu. Po krótkim pobycie w tej szkole mogli byli rozpoznać i rozpoznali też nauczyciele jego, że to młodzieniec niepospolitych przymiotów i zdatności, a kto dziś przegląda świadectwa młodego Karóla w księgach szkolnych zapi-



sane, ten powziąć musi przekonanie, że to był młodzieniec zapowiadający postępowaniem i postępami tego, którego w nim później podziwiamy. Był temperamentu żywego, co w szkolnych świadectwach, według ówczesnego zwyczaju, przez wszystkie klasy, obok pięknych i chlubnych predykatów, statecznie jest zapisywane; raz nawet i to w świadectwie klasy 3 temperament nie tylko żywym, ale i krwisto-cholerycznym jest mianowany. We wszystkich naukach celował do tego stopnia, że przez wszystkie sześć klas i przez cały 7 letni przeciąg nauki gimnazyalnej nie tylko żadnej naganniej, ale nawet ani jednej mniej pochwalnej i mniej chlubnej nie odebrał cenzury, a wszystkie wynoszą wzorowe jego postępowanie i znakomite we wszystkich naukach postępy pod profesorami z razu Strusińskim, Reidem, Kubem, Antoniewiczem, Jarockim, w klasach wyższych pod Buchowskim, Stocem, Gralichowskim, Mottym, Brodziszewskim, Berndem, oraz dyrektorami Gorczyczewskim, Przybylskim i Kaulfusem. Pięć razy odebrał nagrodę, a mianowicie w klasach 3, 4, 5 i 6 dwa razy. W roku 1817 złożył examen dojrzałości, a archiwum gimnazyalne zachowało nam jeszcze trzy rozprawy Marcinkowskiego przy tymże examinie napisane, a napisane wszystkie czystą i wzorową polszczyzną, jakiej niestety! już teraz od dość dawna u młodzieży szkoły opuszczającej spotykać nie zwykliśmy. Z pomiędzy tych rozpraw odznacza się szczególnie rozprawa matematyczna nie tylko naukowo i zwięźle uzasadnioną rzeczą, ale także czystością języka i jasnością formy w ogóle. Było to oczywiście znamię myślącej i logicznej głowy, była to zarazem przepowiednia tej bystrości w myśleniu, pewności i trafności w sądzie, oraz jasności w przedstawieniu, jakimi się później wszystkie umysły jego objawy wyraźnie cechowały. To też zaszczycony nagrodą i chlu-



bném świadectwem, otoczony szacunkiem i życzeniami nauczycieli, otoczony miłością i prawie poszanowaniem współuczniów, pomiędzy którymi najlepsi i najzacniejsi byli jego przyjaciółmi od serca, obsypany względami wyższych obywateli i dostojników, pomiędzy którymi familia ówczesnego namiestnika księcia Radziwiłła niepoślednie zajmowała miejsce, opuścił szkoły tutejsze. Miał podobno zamiar poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, atoli za radą rektora Kaulfusa zmienił postanowienie i udał się na uniwersytet berliński dla słuchania nauk lekarskich. Jeden z obywateli ówczesnych, Eustachy Grabski, zachwycony świetnością examínów i świadectw młodego abituryenta, jak niemniej pochwałami professorów jego, przeznaczył wspaniałomyślnie kodycillem z dnia 29 Listopada r. 1817 talarów 1800 na uniwersyteckie nauki Marcinkowskiego, z której to sumy przecież tylko 650 tal. na ten cel odebrał, a resztę, którą mu, zapewne dla przeszkód testamentowych, dopiero po powrocie z uniwersytetu wypłacić miano, cessyą z dnia 24 Marca 1824 na rzecz zakładu Sióstr miłosierdzia wraz z procentem przekazał. Zdaje się, że z powodu zapisu tego zrzekłszy się publicznego stypendyum, a z zapisu samego część tylko w swoim czasie uzyskawszy, pod koniec nauk swoich był zniewolony własną pracą radzić o sobie.

Podobnie jak gimnazyalne, tak i uniwersyteckie nauki odbywał Marcinkowski z chlubą. Taką samą otoczony był miłością i takim samym szacunkiem kolegów i przyjaciół; z tą chyba różnicą, że wyrabiający się i ustalający charakter serca i duszy, wielką przewagą przymiotów nakazywał już wtedy poszanowanie dla talentu i nauki jego, dla czystości i szlachetności uczuć, i dla popędów ku wszystkiemu co dobre, piękne i wzniosłe. Toż i ze strony profesorów takich samych zażywał względów i poszanowa-



nia dowodów; z tą chyba także różnicą, że w nauce specjalnej, w której go poznać i obserwować mieli sposobność, szanowali w nim zamiłowanie do sztuki, której się poświęcił, równie jak pilność, bystrość i zręczność na polu téjże nauki. Czy Marcinkowski miał szczególne i wyłączone jakieś powołanie do nauki i praktyki lekarskiej, czy téż celował w niej wrodzonym sobie talentem, jakby był celował w każdej innéj nauce, to powiedzieć dziś trudno. Co do mnie, skłaniam się do drugiego zdania, i sądzę, że sztuka lekarska była tylko tą szczęśliwą nauką, której talent jego przypadł, i tym szczęśliwym zawodem, któremu się czynność i poświęcenie jego dostały. Sądzę zatem, że w każdym innym zawodzie byłby ten sam rozwinał talent, choćby zapewne w żadnym innym nie był znalazł równie odpowiedniego pola do odsłonięcia i spotrzebowania skarbów swojej duszy.

Zanim wszakże dobiegł do mety zawodu uniwersyteckiego i zanim wstąpił na drogę praktycznego działania, wystawiony już był na próby cierpienia ciała i duszy, z których druga wyszła wprawdzie zwycięsko, a może odebrała w tych próbach hart, jakim mu się w ciągu przyszłego żywota zbroić wypadało, ale pierwsze, mówię o ciele jego, poniosło szwank, który na zawsze już niezatarł i zgubne pozostawił ślady. W roku 1820 zapadł na katar płucowy, którego niebezpieczny charakter załagodziło wprawdzie bezpośrednie użycie źródeł salzbrunnskich, ale którego skutki jak trucizna powolna rujnowały tę pierś, w której i tak już gorejący płomień różnych gwałtownych a szlachetnych uczuć rozpościerać miał swoje zniszczenie. Złe te skutki objawiły się wnet, gdy w roku 1822 za udział w związku uniwersyteckim Polonia najprzód na 8 miesięczne śledztwo, a potem na 6 miesięczne więzienie w wilgotnych murach Weichselminda skazany



został. Tam to zakorzeniła się ta słabość katarowo-płucowa, połączona z cierpieniami reumatycznymi, co potem ciągle wśród ciężkiego zawodu krępowało i tamowało siły jego fizyczne, dopóki nad niemi całkiem góry nie wzięło.

Powróciwszy na uniwersytet dokończył nauk przerywanych; na dniu 2 kwietnia r. 1823 bronił publicznie rozprawy doktorskiej: „de fontibus indicationum generatim,” a w kilka miesięcy później złożył examen krajowy. W miesiącu Październiku tegoż roku wrócił do miasta rodzinnego Poznania, i osiadł w niém jako lekarz praktyczny.

Zawód życia i działania praktycznego, jaki odtąd Dr. Marcinkowski rozpoczął, dzieli się wypadkiem czasów na dwie odrębne epoki: przedrewolucyjną i porewolucyjną. Jest to ten sam mąż, ten sam lekarz i obywatel w jednej i drugiej; atoli działanie w obudwóch o tyle jest różne, o ile się sceny czasowe zmieniły. W pierwszej przeważał o wiele charakter lekarza; w drugiej ubiegał się, że tak powiem, lekarz z obywatelem kraju. Dwa te charaktery ważyły się, powiem raczej, równoważyły się ciągle, a emulacya ta, jak każda emulacya szlachetna, szlachetne wydała owoce.

Stanąwszy w mieście rodzinnem, z imieniem wzorowego niegdyś i pełnego nadziei ucznia, do których zjisczenia ubiegały się stypendia publiczne z prywatnemi, z imieniem biegłego w sztuce swojej lekarza, ze znamięm i namaszczeniem patryoty, który w przedsiönku jeszcze żywota pełnoletniego i praktycznego, cierpieniem moralnem i cielesnem dał już chlubne świadectwo uczuciom i popędowi szlachetnym, jakie w młodości jego piersi zamieszkały, z takim, mówię, uroczem imieniem stanąwszy wpośród swoich, którzy go wyczekiwali, od



razu zajął stanowisko śmiałe, pewne, samodzielne, pełne znaczenia, wpływu i skutku.

Praktykę lekarską rozpoczął równocześnie prawie z przyjacielem już uniwersyteckim, znanym z szlachetności i poświęcenia, Dr. Karólem Schneidrem. Dwie młode dusze, ożywione jednakiemi zapałami, tchnące temi samemi uczuciami dla cierpień ludzkości, przejęte równie głęboko ważnością swego powołania, uczuły powinowactwo swoje, a złączywszy się przyjaźnią i wzajemnym szacunkiem, puściły się w zawody, ubiegając się nie w drobnej i samolubnej zawiści, ale raczej i jedynie w poświęceniu i dopełnieniu obowiązku. Bo wysokie pojęcie obowiązku i poświęcenia, wspólne obudwom, było źródłem i cechą czynności ich na polu lekarskiem i było tym silnym węzłem, który ich dusze do siebie przyciągał, pomimo że działali w stósunkach miejscowych, w których dążności ich i popędy, jeśli się nie rozbiegały, to przynajmniej wspólnego i również ponętnego nie miały celu. Przedział, jaki różnica narodowości pomiędzy nimi stanowić mogła, wypełnili wielkim zasobem uczuć wzniosłych, miłości i poświęcenia dla ludzkości, co im obudwom tém łatwiej przyszło, że K. Schneider z wysokiego stanowiska ludzkości łatwo pojmował, wyrozumiał i szanował narodowe uczucia przyjaciela Polaka, a K. Marcinkowski miłość swą do narodu, którego był synem i członkiem, uszlachetniał wyższemi i gorącemi uczuciami dla ludzkości. Szczęśliwe miasto, któremu dane było dwa takie charaktery i dwie takie dusze na raz wpośród siebie posiadać! Błogosławiona nędza, której dane było z dwóch takich serc razem czerpać ulgę i pociechę! Widziano ich też ciągle w nierozzerwanj spółce uczuć, pożyicia, narady, poświęcenia, pomocy i ofiar wszelkiego rodzaju; widziano ich dzielących pomiędzy siebie chorych



i cierpiących nędzarzy; widziano ich obiegających szpitale i domy miłosierdzia; widziano ich podających jedną ręką recepty a drugą pieniądz na ich opłacenie; widziano ich przepędzających noc na krzesłach i zrywających się z nich co chwila na zawołanie chorego; widziano ich zbierających cudze i rozdających własne fundusze na zapomogę zakładów miłosiernych; — dopóki nadludzka fatyga nie powaliła ich o łożę, z którego niestety! Karól Schneider już powstać nie zdołał. Zarażony tyfusem zagnieżdżonym w domu Sióstr Miłosierdzia, uległ téj samej chorobie K. Schneider w r. 1828, a dotknięty tą stratą własną i stratą cierpiących K. Marcinkowski, obarczony podwójną odtąd pracą i fatywą w mieście i na prowincyi, po domach prywatnych i zakładach publicznych, a mianowicie w domu Sióstr Miłosierdzia, zapadł ciężko na febrę nerwową w rok później, bo w r. 1829. Przerazona publiczność zanosila po kościołach modły za ocaleniem dobroczyńcy ludzkości. Bóg wysłuchał tych modłów; wyzdrowienie Marcinkowskiego powitano jako łaskę Najwyższego; czczono je i głoszono po pismach wierszem i prozą, a kiedy w tymże roku śmierć, która na ten raz oszczędziła była Dr. Marcinkowskiego, zadała Księstwu naszemu ciężką klęskę, zabierając inną przeznacną osobę na świeczniku wówczas stojącą, nieodżałowanego X. Arcybiskupa Wolickiego, obywatele ówczesni, chcąc uczcić zacność i poświęcenie Marcinkowskiego, z pozostałości po rzeczonym X. Arcybiskupie zakupili kosztowny pierścień i ofiarowali go w upominku młodemu ale wielce już zasłużonemu lekarzowi.

Było to już w pierwszej połowie roku 1830 — a w drugiej połowie tegoż roku nastąpiły wypadki, które jak na los narodu i całej ówczesnej generacji, tak i na los Marcinkowskiego przeważny wpływ wywarły. Duszę



tak szlachetną i gorącą jak jego, tak pełną miłości do narodu, tak pełną poczucia obowiązku, porwały te wypadki od razu i przerzuciły go na pole narodowego honoru i powszechnego poświęcenia. Jako lekarzwojskowy z r. 1826 i 1827 należał on do pruskiej obrony krajowej czyli tak zwaną landwery, a wierny swemu charakterowi otwartości i poczuciu obowiązku, opuszczając Poznań w dwa tygodnie po nocy Listopadowej, podał się do dymisyi temi słowy:

*„Pragnę być uwolniony od powinności, które mnie tu wiążą; bo nie znam nic świętszego nad powinność poświęcenia sił swoich ojczyźnie, wzywającój obecnie swych synów do broni. Gdy oświadczenie to dojdzie do władz przeznaczonych, będę na polu sławy, z którego żadna siła ludzka wstrzymać mnie nie zdoła.“*

Pożegnawszy schorzałą i już prawie dogorywającą matkę z żalem pocziwego syna przeszedł granicę, a na progu powstałej Polski złożył pierwociny usługi i obowiązku, które niósł krajowi w ofercie, zbaczając do Słupcy, aby opatrzyć strażnika postrzelonego przy przejściu granicy przez hr. Tytusa Działyńskiego. Uważając za niedostateczne w tak krytycznej potrzebie kraju poświęcenie lekarskie, i pragnąc jak inni przelać krew swoją w jego obronie, nie przyjął dość wysokiej rangi w administracyi lekarskiej, którą mu w Warszawie zaraz po przybyciu ofiarowano, i wstąpił jako prosty ułan do szwadronu jazdy poznańskiej formującej się pod kapitanem, późniejszym pułkownikiem Brzezańskim, i z właściwą sobie skrupulatnością żył jak żołnierz prosty i czynił wszelką prostego żołnierza służbę. Awansował wnet na wachmistrza i podporucznika, i w stopniu tym stał w bitwie Grochowskiej za 2 pułkiem strzelców konnych pod dowództwem Kazimierza Skarżyńskiego. Gdy po bitwie tej naczelny wódz podczas wielkiego prze-



głądu kawalerii na polach Mokotowskich rozdawał znaki zasługi do podzielenia pomiędzy pułki, a dwa krzyże złote pro virtute militari przypadły szwadronowi jazdy Poznańskiej, przyznali je towarzysze jednomyślnie Marcinkowskiemu i X. Łodze. Czekały go wnet wyższe stopnie odpowiednie poświęceniu i zdolnościom jego; atoli myliłby się, ktoby sądził, że ozdobiony ślifami i olśniony rangami, pogardzał usługą lekarską. Był on żołnierzem, bo miał to przekonanie, że téj usługi i poświęcenia życia na polu bitwy potrzebowała ojczyzna, miał nawet może to przeświadczenie — a czemużby go mieć nie miał — że mu należało być przykładem i na tém polu obowiązku; ale pełniąc ten obowiązek, nie zapominał o obowiązku lekarza, i kiedy po bitwie zażywali inni wczasu, on opatrywał rannych. Dla tego téż pod kapitanem Brzezańskim, jak później pod jen. Chłapowskim stał się nie miewał komendy, tylko raczej doraźną, przygodną, a uważany był za szefa sztabu tak wojennego jak lekarskiego. Pod Wielkim Dębem i pod Jędrzejowem znajdujemy go już w randze kapitana, i tu to z pod Jędrzejowa, kiedy jen. Chłapowskiego przeznaczono do wyprawy na Litwę, odkomenderowany został Marcinkowski wraz z hr. Maciejem Mielżyńskim i kapitanem Szmitkowskim do korpusu jen. Chłapowskiego, którego to korpusu losy podzielał aż do końca kampanii jego, czyli aż do przejścia granicy Pruskiej. Pod Długosiodłem szarżował z ułanami I pułku na pułk strzelców gwardii rosyjskiej, a po sprawie zabrał się, jak zwykle, do opatrywania rannych, pomiędzy innymi Stanisława Chłapowskiego i Tomasza Potockiego, jak później nieco za Lidą mocno rannego Gustawa Potworowskiego. Pod wsią Akać prowadził szwadron 1 ułanów na huzarów i ułanów gwardii rosyjskiej; a kiedy nazajutrz korpus cały przeszedł z Kró-



lestwa na Litwę, zaraz pod Bielskiem miał Marcinkowski sposobność spotkania się z piechotą rosyjską cofającą się do miasta, gdzie się około 700 żołnierza i kilku oficerów poddało. Pod Hejnowszczyzną, przy wnijsciu do puszczy Białowiejskiej, wysłany był Marcinkowski z plutonem ułanów dla zasłonięcia korpusu od strony prawej; napadnięty w lesie przez cały szwadron rosyjski, bronił się odważnie, a cofnąwszy się bez straty, połączył się z pułkiem, który właśnie przypuszczał atak na czworbok starego żołnierza pułku Muromskiego. Kiedy pod Trokami jen. Chłapowski jako generał brygady przeszedł pod rozkazy jen. Giełguda jako jen. dywizyi, posłał Marcinkowskiego z raportem do tegoż generała, oraz z poleceniem skłonienia go, aby pójść na Wilno; a w krwawych starciach pod okopami Ponar o milę od Wilna, gdzie trzy szwadrony jazdy ciężkie odpierały napaści jazdy rosyjskiej; równie jak w bitwie pod Szawłami, gdzie poległ śmiercią walecznych X. Loga i hr. Ign. Mielżyński, miał on czynny udział tak w boju, jak w opatrywaniu rannych. W wyprawie pod Połagę, gdzie miano odebrać broń i ochotników ze statków francuskich, gdy wylądowanie tamże pokazało się niepodobnem, wysłany był Marcinkowski, z wielkiem narażeniem osoby, na morze pod Kłajpedę czyli Memlem dla porozumienia się z ową wyprawą. Był to ostatni czyn wojenny Marcinkowskiego, bo niedługo potem, po bezmyślnych i nieszczęśliwych manewrach jen. Giełguda, z korpusem tegoż generała, jen. Rolanda i jen. Chłapowskiego, przeszedł granicę Pruską o 2 mile od Kłajpedy.

Co się wówczas działo w duszy Marcinkowskiego, łatwo sobie wystawić, choćby nam tego w listach do przyjaciół nie był odmalował. W jednym z nich pisze z Kłajpedy: „*Własne me szczęście jest dla mnie przed-*



*miot zbyt nędzny, abym się za nim mógł uganiać. Co dalej przedsięwzię, jest w zamiarze dalszego kształcenia się znowu na dobro cierpiącej ludzkości. Dziś zatłoczyłoby mnie nieprzyjemne uczucia, gdybym po tylu doznanych dotkliwych przeciwnościach miał od razu w dawne wstąpić stósunki i służyć za cel szyderstwa złośliwych nieprzyjaciół. Czas ulagodzi rozdrażnioną duszę, a wtenczas los przychylniejszy znowu mnie między was poprowadzi. Czas ten rozłączenia za granicą jak najlepiej będę się starał użyć.“*

Z dniem wstąpienia na ziemię Pruską zaczął Marcinkowski być tém, czém był dawniej: lekarzem z poświęceniem bez granic. W obozie pruskim rozłożonym w pobliżu obozu rozbrojonych korpusów polskich, a bardziej jeszcze w Klajpedzie samój, srożyła się cholera. Wezwany przez jen. pruskiego Stilpnagel do rady i pomocy, udał się Marcinkowski do obozu jego, i zastał tamże lekarzy wojskowych w maskach, płaszczach i rękawiczkach, z ceraty, unikających bezpośredniego zetknięcia z zarazą. Jakież było ich zdumienie, gdy Marcinkowski, kapitan dekorowany, znużony marszami, do narażania życia niczem nie obowiązany, zrzuciwszy mundur i zakasawszy rękawy, wziął się śmiało i rączy do badania i opatrywania chorych. Wstąpiło za tym przykładem nieco odwagi w lekarzy, a dużo otuchy w odpychanych dotąd chorych. Za podziwieniem poszło powszechne uszanowanie dla poświęcenia i powszechne poszukiwanie pomocy jego. Niebawem wezwano go do Klajpedy w tym samym celu, a jak się wywiązał z tego powołania i zaufania, świadczy o tém adres dziękczynny doręczony mu przez władze miejskie Klajpedy pod dniem 12 Października r. 1831, krótko przed wyjazdem jego z tegoż miasta. Adres ten brzmi w tłumaczeniu polskiem:



„Przez gotowość, nieustającą garliwość i przezorność, z jakąś Pan w ciągu cholery opatrywał chorych miasta Memla i okolic jego, przez coś oswobodził od śmierci matki, ojców i dzieci, zasłużyłeś nie tylko na wdzięczność wyleczonych, lecz i na ogólną miłość i szacunek mieszkańców tutejszych. W rocznikach miasta wspomniane będzie imię Pana w najodleglejszej potomności ze czcią i uczuciem wdzięczności. Przyjmij Pan przez nas serdeczne podziękowanie mieszkańców tutejszych za trudy, jakieś podejmował z wielkiem narażeniem siebie samego w czasie niedoli ogólnej, i pozwól łaskawie, abyśmy przez dołączenie tu dar udowodnić to mogli. Oby Opatrzność przez długie lata zachowała Pana dla dobra cierpiącej ludzkości! Oby kolej życia Jego, w którem zawsze szczerzy udział brać będzie miasto Kłajpeda, zdołały prawdziwej radości uczucia, i oby *św. Panu* długi jeszcze czas w naszym mieście przemieszkować *podobato*!

Kłajpeda, dnia 12 Października 1831.

**Magistrat i Rada Reprezentantów,**

(podp) Tosindorf, Sawin, Tuncel, Benjamin.

Piękny zaiste i chlubny dokument *uznania i wdzięczności*! Smutny zarazem przykład zapomnienia o zasłudze po minionej trwodze! Poświęcenie to Marcinkowskiego, wdzięczność i uznanie ze strony władz cywilnych i wojskowych nie ważyły wcale na szali pisanego prawa, i nie przeszkodziły bynajmniej, iżby wracając w r. 1834 za paszportem posła Pruskiego przez Berlin, nie był na razie wtrącony do więzienia i trzymany tamże przez kilka miesięcy; iżby w dwa lata później nie był skazany na 6 miesięcy do fortecy, dopóki go stamtąd nie wyprowadziła



— dziwny i widoczny palec Boży! — znów taż sama cholera!

Nietylko wszakże publicznej, ale i prywatnej doznał Marcinkowski wdzięczności w mieście Klajpedzie, które pod koniec r. 1831 opuszczał, aby się udać za granicę. Majętny właściciel fabryki tamecznej, Masson, około którego rodziny w czasie cholery Marcinkowski wielkie położył zasługi, nietylko mu ułatwił przejazd na okręcie do Szkocyi, zaopatrzył go w listy polecające do głównych miast tamże, ale nadto, dając delikatny wyraz uczuciu wdzięczności, bez wiedzy jego, kazał w osobnej stajence pomieścić na okręcie konia, na którym Marcinkowski ostatnią odbył kampanią. Uczuł podobno Marcinkowski żywo ten delikatny objaw wdzięczności, lubo się niedługo cieszył objawu tego przedmiotem, a przygód wojennych miłym towarzyszem. Srogie nawałnice morskie zmiotły *jedną noc* stajenkę wraz z koniem z pokładu okrętowego, *a co gorsza*, trzymając okręt przez 12 tygodni na *morzu* w okolicach Norwegii, stały się powodem do *których* cierpień na chorobę morską, a skutkiem tychże *mocnego nadwężenia* powietrznych narzędzi w płucach, *zaatakowanych* już dawniej niebezpiecznymi kata-  
razami. Przybywszy do Szkocyi i odzyskawszy zdrowie pod opieką krewnych Massona, którym był polecony, wziął się do wykonania programu postępowania, jaki sobie, opuszczając kraj, był zakreslił tj. postanowił praktykować o tyle, o ile tego do utrzymania potrzebował, i o ileby jego koniecznie potrzebowano, a uczyć się daleko więcej. W tym celu obeznawszy się jak mógł najlepiej z językiem angielskim, bawił kolejno, w Aberdeen, Edinburgu i Londynie, i starał się przez cały czas pobytu, tj. aż do r. 1833, poznać i stan nauki lekarskiej w kraju tym w ogóle, i reprezentantów jej po aka-



demiiach i zakładach różnego rodzaju. W pierwszych dwóch miastach zostawił po sobie miłe i nader chlubne wspomnienie, które się przez lat [wiele tamże utrzymywało, a akademii Edynburska uwieńczyła rozprawę jego o cholery, z którą się tyle już był spoufalił.

W roku 1833 przeniósł się do Paryża, nie na to, aby brać udział w stronnicych zapaskach, które już były opanowały i rozogniły umysły emigrantów, ale raczej, aby w tym środkowym punkcie koła cywilizacji europejskiej i ognisku znakomitej szkoły lekarzy a mianowicie operatorów francuskich, zbogacić wiadomości i doświadczenia swoje na pożytek kraju, do którego powrócić mocnem było jego postanowieniem. To też do żadnego ze stronnictw ówczesnych nie należał, a usługi lekarskie, które pełnił wśród licznej emigracji paryskiej i po zakładach dla téjże emigracji założonych, dawały mu łatwy i wszędzie pożądaný przystęp do reprezentantów wszystkich stronnictw. Łatwo się domyślić, że poświęcenie jego dla towarzyszków wygnania było wielkie, jak niemniej wielkie było zaufanie wszystkich do Marcinkowskiego, którego już Mochnacki w ówczesnych listach swoich sławnym naszym Marcinkowskim nazywał. Bo téż i tu, obok wielkich figur akademii paryskiej nie zmałał nasz Marcinkowski; spotykał on się w klinikach i w praktyce ze znakomitościami na polu téj nauki, i utrzymał się wpośród nich na zdobytej dotąd wysokości. Toż samo zaś znanstwo cholery, które mu już było w Polsce, Prusach i Anglii chlubne zjednało imię, utorowało mu drogę do zaszczytnego uznania i zaszczytnej nagrody ze strony królewskiej akademii nauk. Przyznała ona mu medal złoty wartości 1,000 franków z chlubnem przypisaniem następującej osnowy w tłumaczeniu polskim:



Instytut Francyi.\*)

**Akademia królewska nauk.**

w Paryżu, dnia 25 Listopada 1833.

Sekretarz nieustający akademii do Wgo Dr. Marcinkowskiego.

*Mam zaszczyt uwiadomić Pana, że na dorocznem posiedzeniu publicznem odbytem w poniedziałek dnia 18 t. m. Akademia król. nauk rozdała nagrody tegoroczne, i że Pan uzyskałeś medal zachęty, w złocie wartości 1,000 franków, a to za data i skazówki udzielane w przedmiocie cholery Warszawskiej lekarzom francuskim, którzy się do miasta tego byli udali.*

*Korzystałem skwapliwie z téj sposobności, aby Panu z méj strony zaszczytu tego powinszować, dając wyraz uznaniu, jakie się w łonie akademii dla prac Jego w téj mierze objawiło.*

*Medal wydany Panu będzie w sekretaryacie instytutu za osobistem zgłoszeniem się Jego albo téż osoby do pokwitowania przez Niego upoważnionej.*

*Przyjmij Pan zapewnienie wysokiego mego poważania*

*Florens.“*

Zamiast medalu, przyjął Marcinkowski wartość jego,

\*)

**INSTITUT DE FRANCE.**

Académie Royale des sciences.

Paris le 25. Novembre 1833.

Le secrétaire perpétuel de l'Académie à Monsieur le Docteur Marcinkowski.

J'ai l'honneur de Vous prévenir Monsieur, que dans la séance publique annuelle du lundi 18 de ce mois, l'Académie Royale des sciences a fait la distribution des prix de cette année et que Vous avez reçu une médaille d'encouragement en or de la valeur de mille francs pour les faits et les renseignements, que Vous avez fournis sur le choléra morbus de Varsovie aux médecins français, qui se rendirent dans cette ville.

J'ai saisi avec empressement Monsieur cette occasion de Vous offrir



nie aby jój użył dla siebie, ale raczój, aby ją oddać na wsparcie potrzebujących towarzyszków wygnania.

Wśród ciągłych zajęć, które z jednój strony niosły ulgę cierpiącym dwojako wygnańcom, a zdrugiej strony zbogacały wielce wiadomości bystrego i biegłego już lekarza, osobliwie na polu operacyi, która w Paryżu wysoko stała i po dziś dzień stoi wysoko, wśród takich zajęć, mówię, dojrzał czas, jaki sobie Marcinkowski za granicą przepędzić był postanowił, oczekując zapomnienia i zatarcia wrażeń, jakie w duszy jego i narodu zarysowało było nieszczęśliwe rozwiązanie katastrofy z roku 1831. Opatrzony w upoważnienie posła Pruskiego, wracał w r. 1834 do Poznania, poprzedzony wieścią dla miasta i całej prowincyi nader radosną; aż tu w Berlinie, za zgłoszeniem się do władzy policyjnój, przytrzymany i pod pięciomiesięczne śledztwo oddany został. Bolała nad tém dusza jego spragniona atmosfery ojczystej; ucierpiało znów mocno jego zdrowie, bo wszystkie dawne słabości płucowe i reumatyczne odezwały się na nowo. Nareszcie w Kwietniu r. 1835 zawitał w progi ojczystego miasta. Wrażenie, jakie powrót jego sprawił, żyje jeszcze niezatarte w duszy tych, którzy go doznali. Zdawało się, że przeszło czteroletnie oddalenie jego było tylko krótką przerwą, przez którą wierni i cierpliwi pacycenci powrotu jego z chorobami swemi wyczekiwali; sienie i pokoje jego zalegli chorzy i biedni, a czynność była od

---

mes félicitations personnelles en Vous témoignant tout l'intérêt, que l'Académie a pris à vos efforts.

La médaille Vous sera délivrée au secrétariat de l'institut en Vous y présentant en personne ou par un fondé de pouvoir autorisé d'en signer la quittance-

Agréez Monsieur l'assurance de ma considération distinguée

Florens.



razu tak wielka i rozległa, jak gdyby jój wcale nie był przerywał.

Od téj chwili rozpościera się obraz życia i działania Marcinkowskiego, w którym się maluje cały charakter i cała zasługa męża, jakiego w nim szanowali współcześni i jakim go po dziś dzień czcimy w pozostałych czynach i wdzięcznej za nie pamięci. Skreślić ten obraz w trafnych rysach i właściwych kolorach, to zadanie niełatwe; uczyni mu się zadosyć, jeżeli, tak jak w portretach i popiersiach jego, uda się pochwycić i oddać rysy główne przypominające fizyonomią duszy i charakteru jego.

Marcinkowski był człowiekiem charakteru, powołania i namaszczenia prawdziwie chrześcijańskiego. Był poczciwym i przywiązanym synem swego narodu; był światłym i prawym obywatelem, rozumiejącym czas swój i płynące z niego obowiązki; był wreszcie najsumienniejszym wykonawcą tych obowiązków we wszystkich życia zadaniach i stósunkach. Ziarno czasu padło na grunt dobry i wydało owoce obfite, szlachetne i pożyteczne; a jest to znamię ludzi wyższych i jedną z największych zasług, kiedy ktoś czas swój, potrzeby jego i warunki zrozumie, potrafi sobie wyrobić z tego regułę życia i postępowania, wysnuć stąd wątek rzetelnych obowiązków i stać się wiernym obowiązków tych sługą. Jaki to był grunt, na który padło ziarno to czasowe, widzieliśmy to na wszystkich dotychczasowych ścieżkach żywota Marcinkowskiego. Poznaliśmy go utalentowanym i pilnym młodzieńcem, wzorowym w obyczajach i aplikacyi, pełnym szlachetnych instynktów i popędów, zamiłowanym we wszystkiem co wyższe i szlachetniejsze. Poznaliśmy go mężem światłym, biegłym w zawodzie swoim i wysoko zawód ten pojmującym, oddanym obowiązkowi zawodu i życia, gotowym do wszelkiego poświęcenia dla narodu i ludzkości, pełnym



abnegacyi dla siebie. Na męża takiego stanowiska i takiego charakteru, przypadły ciężkie próby przesilenia z roku 1831 i czteroletnie, krótkie może czasem, ale pełne treścią doświadczenia z czasu wygnania i pobytu po za krajem. Wierny postanowieniu, z którym wyjeżdżał za granicę, uczył się i nauczył wiele w szkole sztuki lekarskiej, ale więcej daleko w trudnej szkole życia. W czcze i zaciekle spory emigracyjne o to, kto był przyczyną tak smutnego końca powstania i wojny z r. 1831, nie wdawał się, bo widział jasno, a jaśniej jeszcze za granicą aniżeli w kraju, że nie ten lub ów krok fałszywy, nie ten lub ów wódz albo generał był upadku tego przyczyną, ale raczej powszechna niemoc moralna narodu, niemoc wyssana z krwią ojców i matek wieku 18go i przełana wszystkimi kanałami życia prywatnego i publicznego w następne pokolenia. A im bliżej i dłużej rozpatrywał się w pełni życia narodów zachodnich, im bardziej nauczył się podziwiać potężną ich budowę społeczną dźwiganą skrzętnymi rękoma oświaty i pracy powszechniej, tém jaśniejszy, ale téż i tém smutniejszy przedstawiał mu się obraz opuszczonej ruiny krajowej i przyczyn téjże ruiny. Z rozpatrywania tego i porównania wyciągnął sobie ten wniosek zasadniczy, który się odtąd stał mistrzem jego postępowania, wniosek, że narodowi taką niemocą złożonemu nie szamotać się, ale zwolna w siły moralne i materyalne wzrastać i równie skrzętnymi jak na zachodzie rękoma oświaty i pracy dźwigać się przystoi. W téj to z bystrego rozumu, poczciwego serca, doświadczenia życia i żadnemi podrzędnymi namiętnościami niezaślepionej obserwacyi wyczerpniętej i do ideału podniesionej zasady znajdujemy klucz nietylko do wszystkiego tego, co odtąd głosił, przedsiębrał i czynił, ale nadto do tak heroicznego oporu, jaki stawiał zamiarom z r. 1846. Mówię



zasady do ideału podniesionój; bo zaiste typ charakteru, który się odtąd z téj zasady i wszystkich jój konsekwencyi w nim skryształizował i wyrobił, przedstawia się jako ideał, którego znamiona i warunki przez całe życie, w wszystkich krokach i czynach zgodną i piękną objawiają harmonią. Przyjąwszy na siebie zasady téj apostołstwo, nie w słowach ją głosił, ale w całym swoim życiu dał jój świadectwo, owszém, całe to swoje życie poświęcił jój w ofierze.

Bo téż ostatecznie i w najwyższym rozumieniu jako ofiarę uważał i uważane mieć chciał życie obywatela w społeczeństwie pod takimi będącém warunkami, pod jakimi było i jest społeczeństwo, którego częstką i wiernym synem był Marcinkowski. W obec upadku chciał natężenia sił wszystkich do dźwigania się z upadku; w obec niemocy powszechnój chciał zasilania moralnego i materialnego; w obec ciemnych lub mniej jasnych wyobrażeń o społeczeństwie narodowém i obowiązkach dla niego, szukał i szukać kazał światła; w obec luźności w obowiązkach i cnotach publicznych chciał mieć spotęgowane cnoty i poczucie obowiązku obywatelskiego. Wierzył i przykładem swojego życia stwierdzał tę wiarę, że narodowi upadłemu i poniżonemu, skrucha, godność i poważna abnegacya przystoi, choćby nawet inne narody pełzały w rozpuszcie i pospolitego życia roskoszach. Nie szło zatem, iżby ascetyzm jakiś cielesny i duchowy chciał mieć za cel i ideał życia; ale sądził i sądził słusznie, że w społeczeństwie upadłym i poniżoném wesele i rozkosze powszednie powinny być chwilową okrasą i osłodą życia, nie zaś codzienném zadaniem i celem jego. Jeżeli zaś téj powagi życia, tego wysokiego pojmowania i skrupulatnego wypełniania obowiązków, tego poświęcenia i téj ofiary wymagał od innych, to wszelako pobłażliwym wzglę-



dem nich, względem siebie tylko surowym był sędzią i exekutorem razem. Był panem, rzekłbym despotą swego ciała i swojej duszy, miał na wodzy wszystkie swoje zapędy, był stróżem każdego swego kroku, był wiernym sługą każdego obowiązku, był uosobieniem wszystkich cnót obywatelskich, był naczyniem ducha poświęcenia dla dobra powszechnego, ofiary dla powszechnego odkupienia.

Że mąż w takie i tyle cnót obywatelskich zbrojny, mąż z takim hartem duszy, jasnym rozumem, szlachetném poczuciem, silną wolą, mąż z takim poświęceniem siebie i najwyższą chrześcijańską abnegacją, z taką miłością dla innych a surowością dla siebie, z takim poważnym a szerokim poglądem na świat i zadanie narodów, a przede-wszystkiem narodu własnego, silny i czarowny na otaczających wywierać musiał urok i powszechne nakazywać poszanowanie; że umysł tak wzniosły i potężny potężną miał władzę nad umysłami współobywateli; że opinia jego stała się opinią powszechną, i że ona żelazną ręką władała i kierowała przez długi lat szereg, bez oporu i prawie bez jawnej krytyki; tego łatwo domyślić się i łatwo sobie wytłomaczyć można. Nie nadużywał Marcinkowski téj władzy i siły magicznej, jaką wywierał, ale jój używał obficie ku wszelkim celom szlachetnym. Za pomocą téj władzy i przewagi moralnej poskramiał wszelkie złe skłonności, karmił nadużycia, podnosił co było dobre, a obalał co było złe i szkodliwe, a przedewszystkiem dysponował całym zasobem sił moralnych i materyalnych ówczesnej społeczności. Każdy miał sobie za zaszczyt powołanym być przez niego do usług i ofiar publicznych; nikt mu czoła stawić nie śmiał; a jeżeli ktoś szemrał pokątnie, to chyba zawistna a bezsilna ambicja, to chyba samolubstwo, które zaskorupienie swoje osłaniało pozorem niezawisłości od owéj osobistéj przewagi, jako od



narzuconego despotyzmu. A i tacy bez wyjątku prawie, gryząc na wzór okiełznanego rumaka wędzidło, które im silna ręka wprawnego kierownika zakładała, srożyli się, ale szli za tą ręką; głośni i junaczeni w przedpokoju, milczeli i składali broń w obec jego oblicza. Był to despotyzm, ale despotyzm konieczny i pożądany, despotyzm siły moralnej i uznanej przewagi osobistej, zastępującej opinią powszechną. Bo każda społeczność, jeśli na oślep i na zgubę pójść nie ma, musi mieć jakiś zasób i uznawać jakąś władzę opinii, którą szanuje i której podlega. Jeśli zasobu tego opinii publicznej sama w sobie nie wyrobi i do potęgi pewnej nie podniesie; wtedy konieczna i zbawienna jest, aby pojedyncze, umysłem i charakterem przeważne indywidua zasób ten opinii zastąpiły, i rozsądną opinią swoją do powszechnego uznania doprowadziły. Biada społeczności, która zasobu tego i tej władzy opinii ani w sobie wyrobić i z siebie wysnuć nie zdoła ani nie posiada osobistości, któreby tę próżnię sobą wypełniły i opinią swoją do wartości i potęgi opinii powszechniej podnieść były zdolne. Społeczność taka jest to okręt bez steru i sterownika, miotany nawałnicą wzburzonych namiętności i rozpasanych chuci najpospolitszych. Wtedy wszystkie męty i szumowiny wypływają na wierzch; wtedy wszystkie złe skłonności idą samopas; próżność nadyma się; butna swawola rozzuchwała się; pieniądz tworzy marnetrawstwo i hazard; uparta przewrotność i hałaśna junakierya przybiera pyszne pozory niezawisłości i samodzielności; młodość niedojrzała imponuje starszyźnie, a bezsilna starszyzna pobłaża rozkiełzanym nadużyciom młodości; słowem przewrotność wszelkiego rodzaju podnosi czoło jako żywioł uprawniony, a spłoszona prawda i poczciwość ucieka się do zacisza domowego. Oto słaby obraz społeczności bez władzy i hamulca opinii. Lepszy



zaiste despotyzm opinii wielkiej i prawej, aniżeli anarchia bez władzy i opinii!

Ale wrómy do rzeczywistego żywota Marcinkowskiego, i przypatrzmy się, jakie było postępowanie jego jako lekarza i obywatela na owęj szerokiej i wspaniałej podstawie szlachetnych przekonań, zasad i dążności, z którymi z kilkoletniego tułactwa wrócił w progi ojczyste.

Oceniać zdatność lekarską Marcinkowskiego, porównywać szkołę i praktykę jego dawniejszą z nabytkami z czasu pobytu jego w Anglii i Francyi, jest rzeczą nauki fachowej, tak jak nie do nas, ale raczej do lekarzy należy, oceniać wartość teoryi i pisemek jego medycznych.\*) Myśmy widzieli tylko objawy i skutki jego lekarskiego działania; myśmy podziwiali tylko noszone z ust do ust cudy jego uzdrawiania; myśmy skłaniali tylko głowy przed nadludzkim wysileniem i poświęceniem jego dla cierpiących, bez różnicy stanu i majątku, bez względu na wynagrodzenie, jakie mu się należało; myśmy się zdumiewali nad tym hartem i cierpliwością lichego ciała wystawionego ciągle na bezsenność, niewygody, znużenie jazdą nietylko już powozową ale i konną, i nad tą wieloletnią czerstwością tego ciała i téj duszy, z jaką po najcięższych wysileniach wracał do nowych prac i trudów. Nie był on lekarzem wyłącznym ani panów ani biedaków, ale był lekarzem i pocieszycielem wszystkich cierpiących, którzy go wołali. Z równą gotowością wchodził do pałaców jak do wilgnych sklepów i wietrznych poddaszów chroniących nędzę. W pałacach wynagradzano go chojnie; to co wziął od bogatych, rozdawał chojniej jeszcze pomiędzy ubogich. To téż mieszkanie jego przepełnione było chorymi i biednymi, było zarazem domem jałmużny i domem kliniki, w którym

---

\*) Tu należy pisemko jego O kołtunie.



z równą uprzejmością i równie pomyślnym skutkiem traktował pacyentów, jak otaczających go młodych lekarzy, których uczył leczyć nie tylko bóle fizyczne, ale i bóle moralne, nieść ochoczą i bezinteresowną ulgę cierpieniom nie tylko choroby, ale i nędzy. Noce poświęcał wycieczkom zamiejscowym, aby rano mógł stawać do miejscowych obowiązków, a wycieczki te, niekiedy bardzo odległe, dla pospiechu odbywał konno i to na koniach rozstawnych i nieujeżdżonych. Nie było zgoła trudu i poświęcenia, przed któremi by się wzdrygnął lub uchylił.

To też sztuka jego miała urok, który podobno skuteczniej niekiedy działał, aniżeli środki, które przepisywał. Oblicze jego przy łóżku chorego, nieprzysadne słowo pociechy, były jak gdyby zażegnaniem choroby, do którego środek lekarski był niejako pobocznym tylko dodatkiem. A jak wielkie było zaufanie doń powszechne, jak nieznośny brak jego w chwilach niebezpieczeństwa, to się podobnie jak niegdyś w Kłajpedzie, pokazało w Poznaniu, kiedy w roku 1837, w dwa lata po jego powrocie, wybuchła znów cholera, a przypadła właśnie na czas więzienia, które Marcinkowski z wyroku za udział w wojnie roku 1831, skazany na 6 miesięcy, w Świdnickiej fortecy odsiadywał. Głos powszechny, głos trwogi wołał o powrót Marcinkowskiego, a głosowi temu władze oprzec się nie zdołały. Jako zbawca powitany w mieście, jeśli nie samą sztuką, dosyć podobno bezwładną w obec tej plagi od wschodu, to więcej pewno moralnym swoim wpływem i zaufaniem chorych i zdrowych, jednych ze skutkiem leczył, drugich od choroby chronił. Od tego czasu stał się pierwszą powagą między lekarzami tak cywilnymi jak wojskowymi; sami dygitarze władz najwyższych, najczęściej przeciwnicy jego dążeń narodowych, oddawali mu zdrowie i życie swoje i swych famili



z chlubnem dla niego zaufaniem. Z rzadkim téż taktem i z rzadką niewyszukaną powagą umiał on się znaleźć w obec tak różnych i przeciwnych sobie żywiołów; rzadką bezinteresownością uszlachetniał te usługi, i w wszystkich wlał to przekonanie, że jeśli gorąco kochał swój naród, to niemniej mocno biło serce jego dla cierpiącej ludzkości w ogóle.

Jakoż biło ono mocno i gorąco nie dla chorych samych, ale raczej także dla nędzy i cierpienia wszelkiego rodzaju, a zawód lekarski i poświęcenie, z jakim mu się oddał, w szczęśliwém znalazły się powinowactwie z tą opieką, którą nad biednymi w ogóle rozpościerał. Zaglądając do chat i legowisk znędzniałej klasy ludzi, miał sposobność poznać ich niedolę, przyczyny ich i następstwa; a jak mocno czuł tę niedolę, jak gorąco pragnął jęj zaradzić, i jak szeroko i jasno pojmował trudne zadanie moralnego i materyalnego podniesienia biednej i upadłej klasy ludu, skreślił nam to własną ręką w pamiętnej mowie mianej w roku 1845 przy zawiązaniu Towarzystwa miejskiego ku wspieraniu ubogich, którego był właściwym założycielem i duszą.

Oto główniejsze i charakterystyczne z nięj ustępy.

*„Ludzie, mówi, potrzebujący wsparcia, mający prawo do współudziału dobroczynności swych bliźnich, których los pod względem zamożności lepiej zaopatrzył, dzielą się na dwa wielkie oddziały, z których pierwszy obejmuje tych wszystkich, co się bez istotnej jałmużny używić nie zdołają, drugi zaś tych z pomiędzy wszystkich na pracę rąk swoich w porządku socyalnym skazanych, co przez wpływ rozmaitych okoliczności pomimo chęci i zdolności nie są w stanie potrzebom swoim zaradzić. Że do pierwszego oddziału tylko ci się liczyć powinni, których fizyczne kalectwo, wiek lub choroba obok sierót do pracy niezdol-*



nych stawia, równie przyznamy jak to, że powinnością jest naszą nie uchylać im naszej jałmużny. Ale dalej darowizna i dobroczynny datek rozciągac się nie powinny, jeżeli one nie mają służyć za środek moralnego opuszczenia się i zepsucia ludzi.“ — I dalej znów: „Węgielnym kamieniem, na którym dobry byt ziemski wszędzie i zawsze się wspiera, jest praca. Skromność i rzędnosć w wydatkach, moralne prowadzenie się i uczciwe pełnienie swych powinności w egzystujących socyalnych stósun-  
kach za nią dopiero następują, na nią się jak na opoce wspierają, całkiem niczem są bez niej. Gdyby ta klasa ubogich w skutek lepszego, niż dotąd, socyalnego wychowania pokochała pracę i rzędnosć gospodarczą, jako jedyne i najpewniejsze źródła swych skarbów, gdyby w niej chęć do pracy zrosła z chęcią wygodnego życia na ziemi, która nam wszystkim mniej lub więcej wrodzona; — ale niedosyć na tém, gdyby urządzenie stósun-  
ków socyalnych kiedykolwiek w taki sposób załatwione być mogło, że każdemu i w każdej chwili nietylko dostateczną ilość pracy dostarczy, ale zarazem pracy tak ocenionej, że wymiana zapłaty wystarczy na wygodne utrzymanie pracownika, natenczasby wszelka nędza znikła od razu z pośród ziemskiego świata.“ I dalej jeszcze: „To téż natchnęło nas wszystkich, którzy Towarzystwo dobroczynności składamy, ażeby wiążąc się wspólnie czynnym udziałem urzeczywistnić błogą opiekę, pod której zastłoną lud pracujący dojść musi do przekonania, że dobry byt na téj ziemi oparty na pracy i stósonem wynagrodzeniu onéjże tylko samemu sobie zawdzięczyć powinien.“ Na inném miejscu: „I pieniężne wsparcie tylko w tén sposób szafowanem być winno, aby grosz na nie obrócony w pracy się mnożył i dochody biednych z ich pracy powiększał.“ Kończy zaś dodaniem trzech głównych skazówek i środków: „1. Przedewszystkiem



tu należy wzgląd na domowe i elementarne wychowanie dzieci tych klas, nad któremi opiekę braterską ustanowić sobie zamierzamy. Od niego bowiem zależeć będzie cała przyszłość ich nowój generacyi. Co się ma zrobić z całą masą tych dzieci, co obok fizycznego niedostatku zapatrują się co dzień na zły przykład rodziców, zaniedbane moralnie przywykają do żebrania i nabierają złych nałogów, które z ich wiekiem w przestępstwa i zbrodnie wzrastają? Tam pierwsze źródło wszelkiego nieszczęścia. Zapobiegna mu szkoły ochrony elementarne przytrzymywaniem dzieci do stósownych zatrudnień, a w swym czasie oddawanie na rzemiosło. 2. Usiłowanie ku odwiedzeniu od niewstrzeżliwości w nadużyciu trunków. 3. Pouczania gospodarności w wydatkach z ciąglem zwracaniem uwagi na korzyść odkładania oszczędzonego grosza na przypadek przyszłego niedoboru i oddawanie go do kasy oszczędności.“

Widzimy z tego treściwego programu, jak szeroki był widnokrąg umysłu i serca Marcinkowskiego; znajdujemy w nim bowiem poruszone i jasno pojęte wszystkie te ważne kwestye polepszenia losu klas roboczych, szkółek, ochronek, kas oszczędności, kas pożyczkowych itp., wszystkie mówię, które dziś, w 20 lat po jego śmierci, wielkie znalazły uwzględnienie i szerokie zastosowanie.

Podobnie jak w Towarzystwie ku wspieraniu ubogich; tak we wszystkich innych przedsięwzięciach dobroczynnych gorący miał udział, i albo był ich źródłem, albo przynajmniej nader gorącym i pożytecznym opiekunem.

Na tém polu opieki i dobroczynności widzimy go już nie samym lekarzem, ale raczej prawym, światłym i czynnym obywatelem tak miasta, jak prowincyi. Około spraw miejskich i ich reprezentacyi wielkie położył zasługi. Reprezentacya ta, jakkolwiek z prawych złożona



obywateli, nawykła była, obyczajem tradycyjalnym, traktować sprawy miejskie według pewnej rutyny i pewnego mechanizmu, bez wyższego pojęcia o zadaniach i powołaniach gminy i bez gorącego dla nich poświęcenia. Uderzył ten apatyczny stan ję bystry umysł Marcinkowskiego; z właściwą sobie gorliwością i powagą wprowadził on przy pierwszych wyborach nowe do rady żywioły, a z niemi nieznane dotąd życie i zajęcie. Skutkiem tego była kilkoletnia większość polska, która jego powołała na zastępcę przewodniczącego; a krótkie dzieje prac tej reprezentacji, w której Marcinkowski zasiadał, wykazują zapewne, że ta pięcioletnia epoka nie była jedną z najmniej pożytecznych dla miasta.

Rozleglejszą i skuteczniejszą była rada i praca jego na szerszém polu obywatelskiej usługi w prowincyi całej. Cokolwiek dobrego i pożytecznego tu zrobiono od chwili ocknięcia po omdleniu, jakie sprawił nieszczęśliwy koniec wojny r. 1831 aż do katastrofy roku 1846, wszystko to prawie albo pomysłowi i inicjatywie, albo przynajmniej energicznemu i umiejętnemu wykonaniu Marcinkowskiego przypisać należy. On to po powrocie z zagranicy ocucił umysły z kilkoletniego uśpienia i powołał je do nowego życia i do nowej pracy. On wywołał i wywoływał ciągle na scenę tej pracy ludzi zdolnych, moralnie i materialnie zasobnych, i do zbawiennego użycia tych zasobów zagrzewał. On dawał hasło i nawoływał gotowych i wprawnych do usług ludzi, ilekroć gdziekolwiek i kiedykolwiek coś pożytecznego zrobić należało. On umiał godzić w wspólném poczuciu obowiązku dla sprawy publicznej wszystkie warstwy i żywioły społeczne, powołując je wszystkie do szlachetnego współubiegania się na polu zasługi i poświęcenia. On nareszcie wskazywał we wszyst-



kich tych robotach cele jasne i pewne, i torował ku nim ścieżki proste, w podniesieniu materyalném i moralném ludu, w miłości i szacunku wzajemnym wszystkich klas społeczeństwa, i w niezbędnych warunkach zbudowania zdrowego społeczeństwa organizmu, przez oświatę i pracę. Pomysłów swych i robót ku temu celowi odbudowania gmachu społecznego na podstawach mocnych i trwałych monumentalne pozostawił świadectwa, pomiędzy któremi Towarzystwo Pomocy Naukowej bezwątpienia pierwsze zajmuje miejsce. Kiedy zaś pomyślimy, jak ogromnemi, moralnemi i materyalnemi zasobami ku celom tym dysponował i szafował, to mamy niechybną miarę uroku, powagi i wpływu, jakich pomiędzy współobywatelami zażywał.

Dostrzegł to był bezwątpienia dawno bystry jego umysł, ale poznał to należycie i utwierdził w sobie jasnym rozpatrywaniem w stosunkach społeczności zachodnich, że społeczności naszej niedostawało przedewszystkiem dwóch głównych warunków i podwalin bytu, to jest oświaty i pracy. Podnosić i szerzyć tę oświatę we wszystkich warstwach społeczności; zaszczeniać zamiłowanie do nauki na wszystkich polach wiedzy, do pracy na wszystkich drogach i polach działania ludzkiego; rozwijać wszelkie zasoby téj pracy, wskazywać jęj źródła, środki i cele; wskazywać owoce jęj jako cel szlachetnego współubiegania się na polu społeczeństw europejskich; przez skrętną i powszechną tę pracę odbudowywać słaby i podupadły gmach społeczny; oto program, z którym wrócił do kraju, oto zadanie, którego rozwiązaniu poświęcał najszlachetniejsze swe siły. W myśl tego zadania postanowił wspólnemi siłami wychowywać zastępy ludzi światłych, do wszelkiej szlachetnej pracy zdolnych i chętnych, którzyby we wszystkich użytecznych zawodach pracy takiej byli i narzędziami i kierownikami. Nie stworzenie



jakiegoś stanu średniego, któryby jako klin ćwiertował i rozbijał całość społeczną, jak mu w błędzie, jeśli nie w złej woli podsuwano, było jego zamiarem; ale raczej wzmocnienie i scementowanie tegoż gmachu społecznego przez masę żywiołu świeżego i silnego. Brał on społeczność naszą tak, jaką była, bez uprzedzeń i bez utopistycznych teorii, i wszystkie jej żywioły i składy uważał za równouprawnione i za równo pożyteczne; nie burzyć chciał, ale budować, a do budowy tej wzywał wszystkich bez wyjątku i różnicy, wskazując im pracę odpowiednią, pracę różną, ale wszystkłą i wszędzie zarówno szlachetną i pożyteczną, pracę w roli, w przemyśle, rzemiośle, handlu, urzędzie i wszelkiej uczciwej usłudze. Rozumiał on, a rozumiał słusznie, że trwała budowa społeczna nie może się opierać na jednym lub drugim żywiole, choćby on był najzdrowszy i najsilniejszy, ale na wszystkich razem i harmonijném ich spojeniu; że potęga narodów zasa-  
dza się równie na zasobach tak moralnych jak materialnych, aż bogactwo narodowe nie jednym tylko kanałem, ale różnemi kanałami przyływać winno, że zatem im więcej takich kanałów, tém pewniejszy i obfitszy przyływ. W tym to szeregu myśli zachęcał i powoływał do przedsięwzięć zbiorowych; w tym myśli szeregu dźwignął Bazar funduszami zbiorowemi, zachęcał do handlu, przemysłu i rzemiosł; ku tym celom zbierał fundusze na szkołę agronomiczną; a jako fundament niezbędny wszystkiego popierał powszechną i gruntowną oświatę. Tu pierwsze i najchlubniejsze zajmuje miejsce Towarzystwo Naukowej Pomocy, którego 25 letnią rocznicę i pamiątkę z czcią winną dla Założyciela dziś obchodzimy; w tém dziele postawił sobie trwałą i wspaniałą monument, a nam opokę, o którą się bezpiecznie opierać mamy, opokę, na której napisano jest: *In hoc signo vinces!*“



Węgielny kamień do wielkiego dzieła tego położył już w roku 1840, a szybkość, z jaką myśl tę rozwinął i urzeczywistnił, oraz wielki skutek, jaki od razu osiągnął, dowodzą z jednej strony energii i nadzwyczajnego wpływu na opinią, z drugiej strony nadzwyczajnej gotowości, z jaką na wezwanie jego poczuwano się do ofiar publicznych. Wspierali go przy założeniu tego dzieła bliscy jego przyjaciele, oraz ówczesni mężowie zasługi na właściwych sobie polach, a mianowicie hr. Maciej Mielżyński, Gustaw Potworowski, Libelt, Mendych, Szułdrzyński i inni, a wnet potem dotychczasowy sekretarz Towarzystwa, ks. kanonik Brzeziński. Rozesłane po powiatach listy wracały z licznymi podpisami i obfitemi zapisami, tak iż pierwszy spis członków wykazał 16 podpisów od 500 do 100 talarów rocznie, 42 podpisy od 100 do 20 talarów, a kilkadziesiąt podpisów niżej 20 talarów. Opinia publiczna przyklasnęła temu szlachetnemu i pożytecznemu przedsięwzięciu; władze krajowe przez organ ówczesnego naczelnego prezesa Flottwella pochwaliły toż dzieło humanitarne, a poparte ze wszech stron weszło w życie już w ciągu r. 1841 i odtąd bez przerwy wywiera dobroczynne i zbawienne swoje wpływy. W roku 1860 na wniosek ówczesnej Dyrekcyi uchwaliło walne zebranie, aby uczcić pamięć Założyciela Towarzystwa przez przywiązanie imienia jego do tego Towarzystwa, i odtąd dzieło to, nieoddzielne od imienia i pamięci Założyciela, stoi z jednej strony jako najwspanialszy pomnik Założyciela, z drugiej jako warownia imieniem jego zasłonią i zabezpieczona.

Ależ oto stanęliśmy na miejscu, w którym nam się z wspaniałym tym obrazem życia i działania znakomitego tego męża rozstać przychodzi, i po drodze trudu i bólu najprzód do łoża śmiertelnego, a wnet potem z nie-



zmiernym żalem wszystkich do grobu odprowadzić go trzeba.

Wśród jawnych i wielkich prac Marcinkowskiego rozpoczynały się w ostatnich latach jego życia inne roboty tajemne. Podszepty emigracyjne, w zamiarach powszechnie znanych, zaczęły paraliżować czynność i wpływ jego, a prace jego zniżyć do rozmiarów podrzędnych. Skutkiem tego nowego apostołstwa zaczęto się kłaniać nowym bogom. Podniesione nieco siły moralne i materialne chciano zużyć na prędkie i wystawić je na próbę, której skutek był niewątpliwy. Znano przecież potęgę i wpływ Marcinkowskiego i znaczenie jego imienia. Użyto więc wszelkich sposobów, aby go do zamiarów swoich przeciągnąć i nadać im przez to sankcyą i powagę. A gdy całą siłą swego przekonania i całym duszy swój hartem oparł się temu, zaczęła się cicha wojna przeciw niemu, jego zasadom i robotom: władzę jego moralną zaczęto podkopywać, kanały, któremi zasoby materialne do rąk i dyspozycji jego spływały, przecinać i do innego sprowadzać je ujścia. Zdawało się niejednemu wtenczas i potem, że gwiazda Marcinkowskiego gasnąć zaczęła. Być może, że blask jój krótko przed r. 1846 był nieco słabszym, ale nie przeto, iżby gwiazda ta sama z światła swego coś była uroniła, tylko raczej dla tego, że pomiędzy nią a świat, któremu przyświecała, rozpostarto na czas krótki zasłonę, która chwilowe spowodziła zaćmienie. Gdy zasłona ta spadła, gwiazda Marcinkowskiego stanęła znów w całym swym blasku i świeci do dziś dnia jasno na firmancie naszym.

Na widok tego, co niestety przepowiadał, cierpiał Marcinkowski, jak drugi Konrad, cierpieniem wszystkich, bolał bólem powszechnym. Bolał nad losem tylu ofiar nadaremnych, bolał nad ruiną tego wszystkiego, co skrzętne jego



ręce przez lat 10 były stawiały. Bolał — i już boleści téj nie przebolał!

Od dni Lutowych do dni Listopadowych widzimy już tylko niknące zwolna jego życie. Nadwreżone od lat młodzieńczych zdrowie jego wytrzymywało częste i ciężkie próby nietylko pracy, trudów, bezsenności, niewygód, gwałtownych i wielomilowych wycieczek konnych, wpływów powietrza, ale nadto kilkakrotnych ataków chorób różnych, którym się z nadludzką prawie opierał energią. Kilka lat po powrocie z emigracyi popadł w niebezpieczną chorobę przez zakłucie palca przy sekcji jednego ze swych przyjaciół. W roku 1842 tak dalece zapadł na słabość płucową i ogólne osłabienie organizmu, że ulegając proźbom przyjaciół, ustąpić musiał na czas niejaki na wieś, a potem używać wód Reinerzkich i kąpieli Warmbrunskich. Podniesione wypoczynkiem i kuracją siły starczyły mu wśród trudów, niewygód i poświęcenia bez granic, jeszcze przez lat cztery, aż dopiero publiczne przesilenie r. 1846 sprowadziło stanowcze i w życiu jego przesilenie. Wsparty na kiju i ramionach obcych, wspinał się jeszcze ostatkami sił na piętra i poddasza chorych, on, który wówczas ze wszystkich pewno już był najchorszym; a kiedy go już ostatnie opuszczały siły, wywieść się kazał do Dąbrówki, wsi jednego z przyjaciół swoich, gdzie po krótkich ale dotkliwych cierpieniach, skonał na rękach tegoż przyjaciela Łakomickiego i drugiego hr. Macieja Mielżyńskiego, którego ogólnym zrobił spadkobiercą i testamentu exekutorem. Było to dnia 7 Listopada roku 1846.

Pocóż się mam silić na skreślenie wrażenia i żałoby, jakie sprawiła wiadomość o śmierci jego? Ujrzano naraz okropną, niczém niezapełnioną próżnią, a serca wszyst-



kich przepełnione były ciężkim żalem i bólem nieukojonym!

Pogrzeb jego był ostatniem, wspaniałem ale smutném świadectwem jego cnót i zasług, oraz szacunku i czci, jakimi ze wszech stron był otoczony. Był to pochód tryumfalny, podnoszący cnotę i zasługę, ale przyciskający tych, którzy czuli stratę ich wyobraziciela.

Zwłoki jego sprowadzono do Poznania, rodzinnego jego miasta, miejsca, z którego się przez lat przeszło 16 rozchodziły ścieżki usług i zasług jego. Na czteromilowej drodze przyjmowali je mieszkańcy wsi i miasta Obornik z duchowieństwem na czele, przy odgłosie dzwonów, z żalem i modlitwą; na pół mili przed miastem stały na ich przyjęcie miejskie cechy z chorągwiami. Na przedmieściu ś. Wojciecha, tam gdzie w lichym domku nowonarodzonego Karola chrzczył był pleban parafialny przy skromném świadectwie, czekał na zwłoki zasłużonego męża wspaniały orszak najwyższego duchowieństwa z Arcypasterzem na czele, stały zastępy nieprzejrzonego ludu, czekały władze najwyższe miejskie i rządowe, cywilne i wojskowe, by uczcić obecnością i żalem swoim tego, co się nie tylko narodowości swojej, ale i ludzkości wielce zasłużył. W wspaniałym, pełnym żałobnej uroczystości pochodzie odprowadzono zwłoki na cmentarz ś. Marciński, gdzie je w prostej trumnie wspólnej matce ziemi oddano. Na żałobném a solenném nabożeństwie, odbytém w kościele farnym za duszę zmarłego, uczcił X. Janiszewski cnoty i zasługi jego w świetnej i pamiętnej mowie pogrzebowej.

Właściciel wsi Dąbrówki, gdzie Marcinkowski dni swoje zakończył, wystawił mu pomnik z napisem oddającym cześć Lekarzowi, Żołnierzowi i Obywatelowi; gład ciężki bez napisu przyciska prochy jego, i tylko ogromem swoim przypomina wielkość męża, któremu poświęcony;



skromna tablica kamienna na ścianie domu, który zastąpił mały domek urodzenia jego, przypominać ma toż miejsce przyszłym pokoleniom; z okazji dzisiejszego obchodu 25 letniej rocznicy założenia Towarzystwa Pomocy Naukowej, tego najpiękniejszego i najpożyteczniejszego z dzieł jego, powzięli wychowawcy tegoż Towarzystwa myśl uczczenia go pomnikiem tu w Poznaniu; wszakże to pewna, że najwspanialszym pomnikiem jest toż samo Towarzystwo, które się imieniem jego szczyci, i nawzajem temuż imieniowi zaszczyt przynosi. Trwałość tego pomnika od nas zależy!

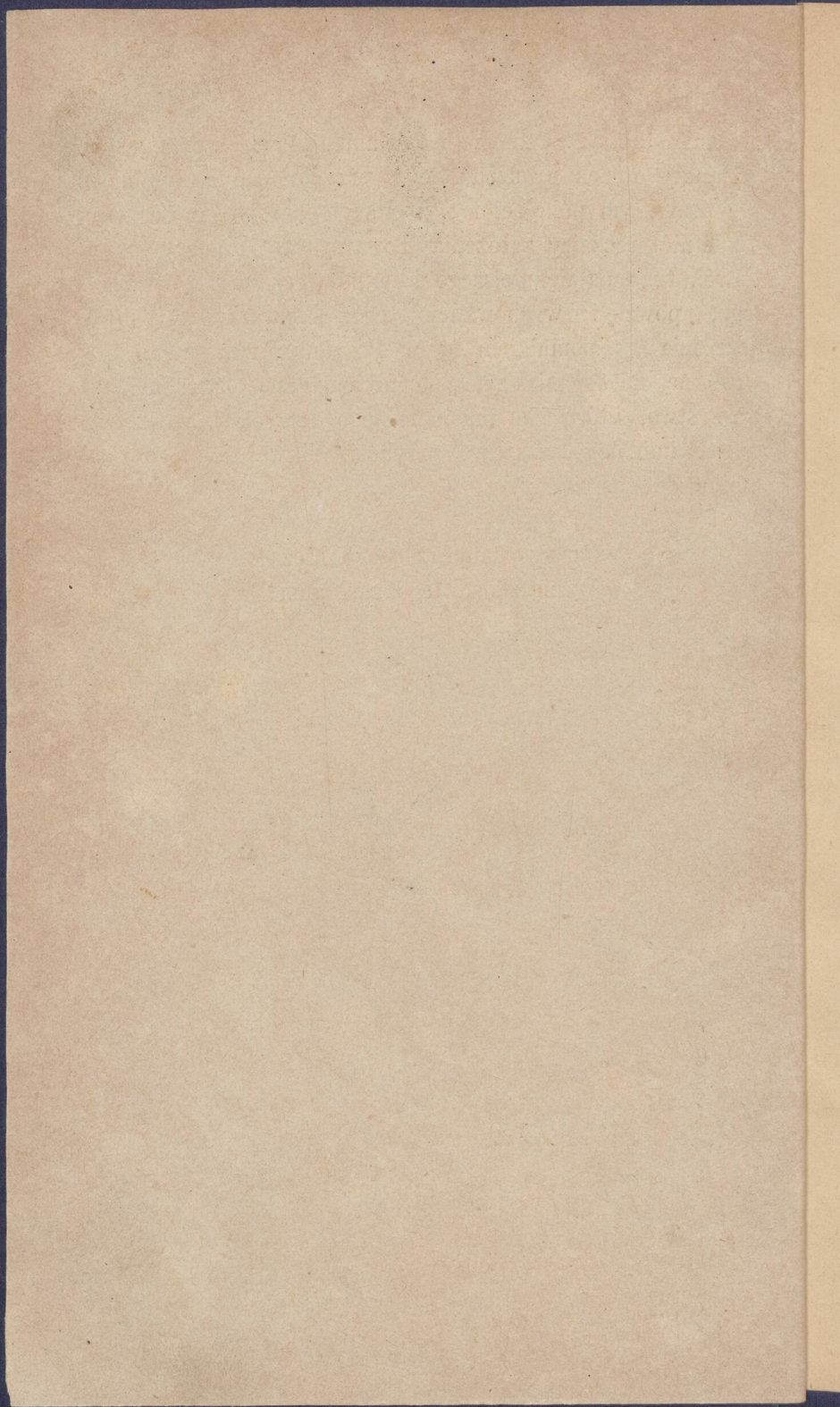
Cześć pamięci zacnego Męża!

Wdzięczność Jego zasługom!

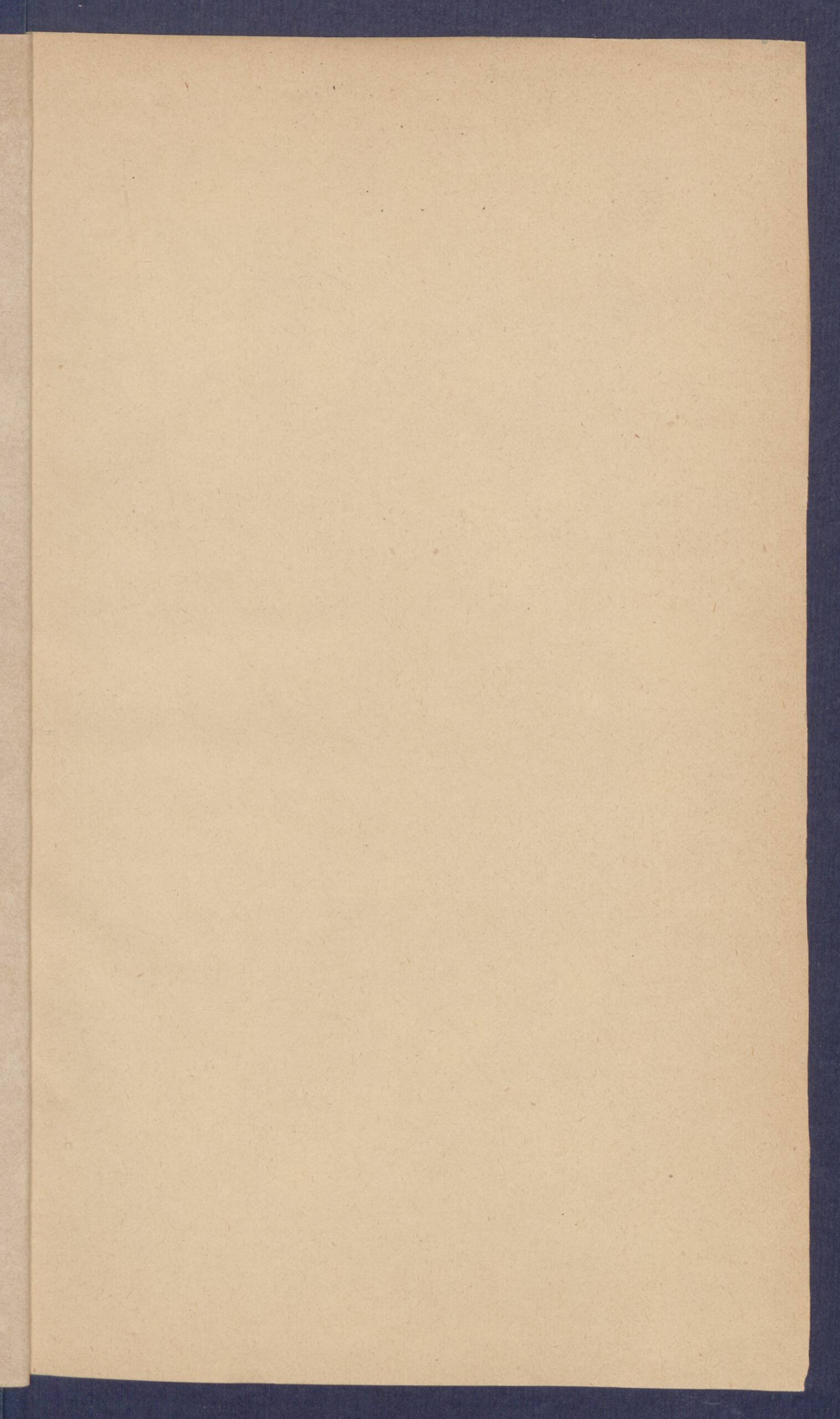


BG0860209

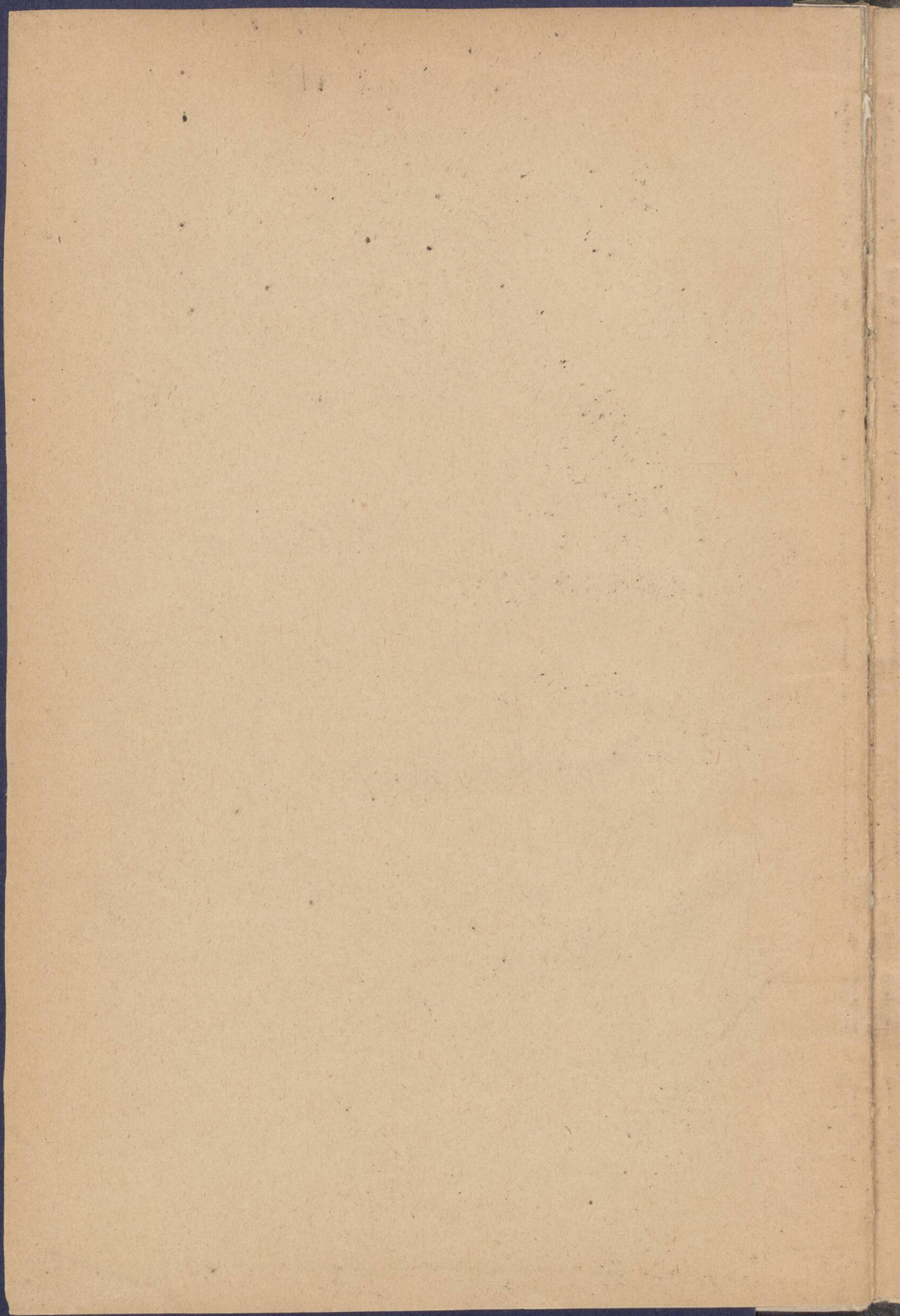




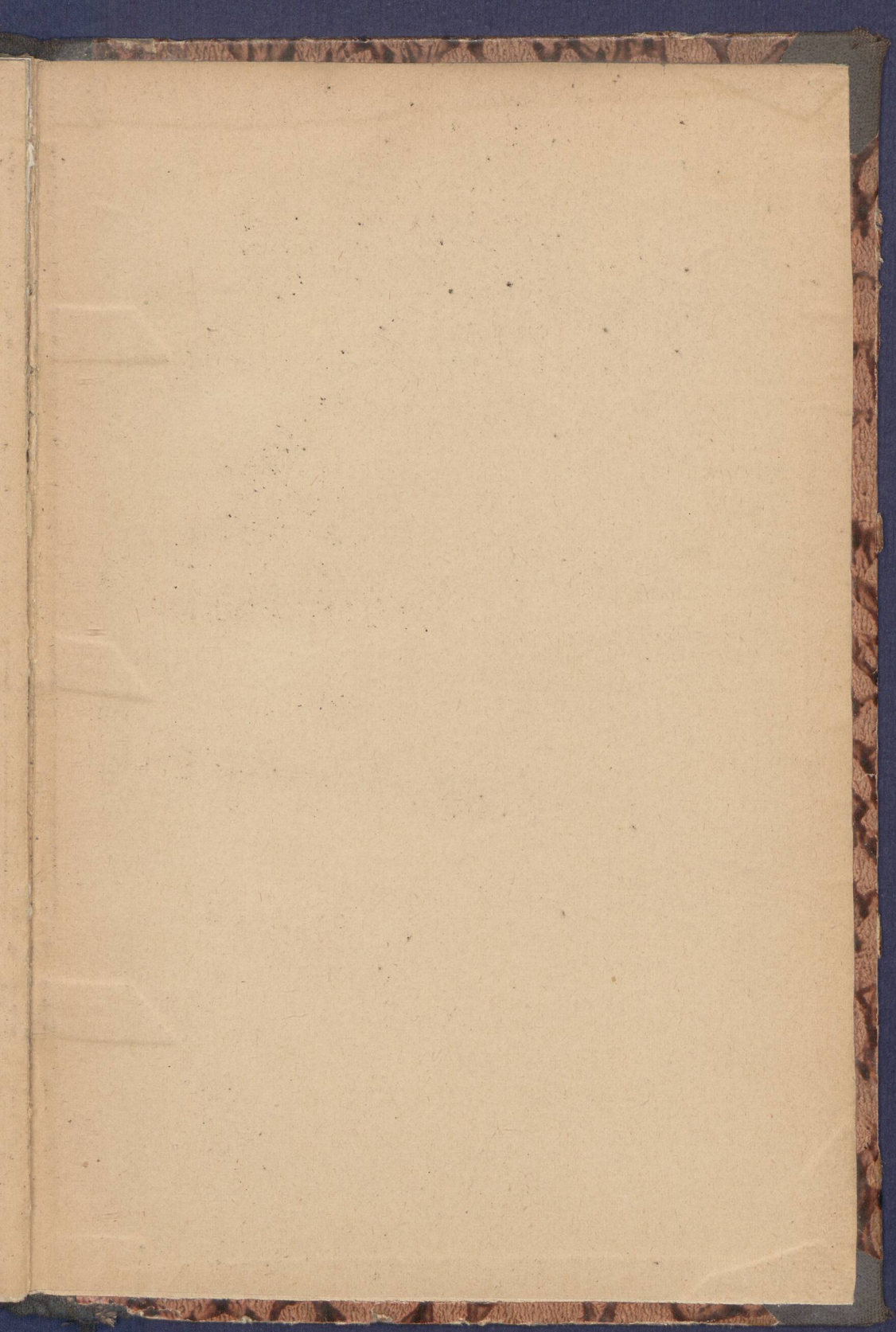
















Biblioteka Uniwersytecka  
w Poznaniu

**472076 II**



Biblioteka Uniwersytecka  
w Poznaniu

**472077 II**

TYLKO DO KORZYSTANIA  
NA MIEJSCU



BG0880002